Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 18. POZNAŃ, DNIA 1. MAJA. **1843.**

POEZYA.

SZWAJCARKA.

I.

„Kto dziś uwierzy, że jest raj na ziemi?
Nie każdy z ludzi znaleść go jest zdolny:
Mądrości ziemskiéj wdzięk jego się ciemi,
Sam tylko tkliwy znajdzie go i wolny;
A wyobraźnia, ta wykwintna pani,
Znajdzie swój cały *ideał* w tém dziele:
Lecz gdzie kwiat widzą piewcy, zakochani,
W źrenicy mędrca — łupiną w popiele.

Z bijącém sercem, z myślą utęsknioną,
Chcąc gdzieś dla ducha znaleść port w naturze;
Gdy me uczucia w morzu zgryzot toną,
I wypływają nowe zwalczać burze:
Duch skołatany falami żywota,
Zatęsknił w wieczność. Lecz co mu udziałem,
Nie wié, — błąd w złocie, czy w kajdanach cnota?
Może dość miłość?... Wtém na świat spojrzałem.

Gdzie wtedy byłem, chcę ci opowiedzieć:
U spodu skały spienione bałwany,
Oko ich biegu nie mogło dośledzić,
Tylko huk słychać daleki, zmieszany.
Nad moją głową kwiecista murawa,
Tajną przyrody zawieszona siłą;
Z góry ją łuna ogranicza krwawa,
U spodu wszystko pianą się zbieliło.
Na téj pochyło rzuconéj przestrzeni,
W najpowabniejsze przystrojonéj kwiaty,
Bezpiecznie mnóstwo pasie się jeleni,
Przyroda dla nich rozstawiła czaty.
Tam ziemia jeszcze od gwałtów daleka,
Podług własnego smaku się upiększa,
Jak ją Bóg stworzył dla pierwszego człeka,
A sama dzikość powaby jéj zwiększa.

Rok szósty.

Cyprys z fijołkiem, motylki i łanie,
Zdają się łączyć w harmonii ogniwa,
Kruk dziko kracze, słowik mile śpiéwa,
Powabną zgodą, dziwne zamieszanie.

Dwie rzéczki płyną od promieni słońca;
Źródła ich w niebie, a nie dojrzysz końca,
Całunem z piany odziały go fale.
Jak niejednakie tych rzeczek dwóch biegi!
Ta, w brylantowym połyska krysztale,
Wody jéj z srebra, marmurowe brzegi;
Nigdzie nie może być miléj, weseléj,
Zda się, że z nieba zstąpili anieli,
Aby ją raju nektarem nalali:
Druga, choć kwietne równiny przerzyna,
Bieg jéj burzliwy, męty w łonie niesie,
Z błotnistym brzegiem bój po boju wszczyna,
A rąbkiem tęczy połyska przy kresie;
Światu *zniszczenie* płynie na jéj fali,
Burza tę rzeczkę sili się wlać w morze...
Lecz, tysiąc rzeczek złączyło się daléj,
Bratnim uściskiem, gdy się powitali,
Wpłynęło w wieczność jedno *słodkie morze.*
Górą wyniosłe, strome skały stoją,
A ich wierzchołek na łuk się zagina,
Tylko starego cedru rozwalina,
Łączy ich głowy i powojem spina,
Tam się gazelle same skakać boją:
Bo na tym dzikim moście przyrodzenia.
Chyba sam anioł śmiałby stawić stopę;
Rzuć, nie dosłyszysz upadku kamienia,
Ztamtąd ucieka trwożna Antylope.

II.

Gdy tym widokiem napawam źrenice,
Na most, to cudu, czarodziejstwa dzieło,
Jakieś się widmo promienne wsunęło,
Widmo tak piękne, jak ziemskie dziewice.
Jedną mi rączką od ustek kłaniała,
Drugą, przepaści wskazuje głębiny,
Jeszczem nie widział tak pięknéj dziewczyny:
Pierś jako śniegi na Monblanie biała,
Snać z utrudzenia ciężko pracowała;

Lice, jak róża, gdy w wiosny poranek
Blade jéj listki z pączka się wywiną;
Oczy, co w duszę jak dwie iskry wpłyną;
Oczy! któryż was ośpiewał kochanek.

Widzi ten aniół moje pomieszanie...
Z uśmiechem, który wiecznie został w duszy,
By mnie z téj martwéj uwolnić katuszy,
Jako gazella w dolinę poskoczy,
A potém nuci taki śpiew uroczy:
Cudzoziemcze bez ojczyzny!
Odpędzon od własnéj matki,
Nadziejo ojca siwizny,
I przyjaciół i czeladki;
I dziewicy w bliskiém siele
I naddziadów niepomszczonych,
W imie których wy mściciele
Prochów, cudzym, znieważonych:
Bohatyrze! rzuć marzenie...
Już nadzieje legły z falą.
Tyś mi w serce wlał płomienie,
Co się w wieczność nie wypalą.
To serce tobą dziś płonie,
Serce szczęsne do téj chwili:
Zostań tu przy mojém łonie,
A szczęśliwi będziem żyli.
Nie zapomnieli Szwajcary,
Z jaką cnotą polska dusza:
Bóstwem tu wasz rycerz stary,
Wielbią cienie Tadeusza!
Masz kochankę, przyjaciela, — — —
Powietrze Wilhelma Tela,
Będzie balsam dla twéj duszy.
A ta pierś bijąca, biała,
Niebo znajdzie na twém łonie,
Będzie z tobą podzielała
Wszystko w życiu i po skonie.
Ubogą chatka Szwajcara;
Jéj skarb owoce, jarzyny,
Lecz czyliż niczém ofiara
Serca niewinnéj dziewczyny?
Nad twą ziemią gromy grzmiące;
Wiecznież za nią będziesz szlochał?
Tu znajdziesz roskosz tysiące,
Byleś mię szczerze pokochał..."
. . . .
. . . .

III.

Zwiedzając rajskie Szwajcarów dziedziny,
W pięknéj wiosce młodościm znalazł przyjaciela,
Na łonie wdzięcznéj żony i takiéj rodziny,
Jakiéj tylko wiek złoty obrazów udziela.
Bohatyr uwieńczony wśród ojczystych burzy,
Letargicznie zasypia na Szwajcarki łonie;
Ono wiąże go z życiem, chciałby spać najdłużéj,
By obrazem ojczyzny nie rozdzierać duszy,
Sobie, lubemu dziecku i najtkliwszéj żonie,
Co śmierć ponieść gotowa dla jego katuszy.

Gdyśmy w cieniu akacyi raz pomnę siedzieli,
„Tyś jeden," mówił, „przy mnie z wszystkich przyjacieli...
Tylu było mścicielów, dziś mało przy życiu, — — —
Przecież, choć rozłączony z ojczyzną i swemi,
Przez połowęm ją znalazł na téj wolnéj ziemi;
Widziałeś tę niebiankę, co mnie trzyma w świecie,
I to, już z duszą polską, z krwi Szwajcarki dziecię?
Ogród bujny owocem, konwie pełne mleka,
Ten dostatek w ubóstwie, wolne moje tchnienia,
Ziściły dla méj duszy urocze marzenia,
To raj, jak go Bóg stworzył dla pierwszego człeka!
Więcéj nie brak do szczęścia, jak, gdy śmierć zaciemi!
Boże! daj tak odetchnąć raz na ojców ziemi!..." —

Zaleliśmy się łzami za ziemią kochaną;
Nadchodziła Szwajcarka, otarł spiesznie lice,
Uśmiech tęskny osłonił łzawą tajemnicę,
Ucałował jéj usta, anielskie źrenice.
Ale moje cierpienia... i kiedyż ustaną?
Dziś, kiedy tu zajęczę mém pieniem tułaczém,
Tam w ziemi łez, pół duszy odpowie mi — płaczem.

Poznań, 15. Marca 1843. roku.

Ja... Ka... Ra...

Szczęść Boże.

(Dokończenie.)

Od upadku przecie klassyczności, datuje się też upadanie smaku w literaturze francuzkiéj. Bo lubo tam nie brakło na ogromnych ludziach, chwytających nową epokę w poezyi, ale tę poezyą romantyczną trzeba było dopiero stworzyć, gdy tymczasem Anglicy i Niemcy oddawna mieli już gotową. Olbrzymie geniusze obu tych narodów należeli z całém sercem i z głębin istoty swéj do poezyi romantycznéj. Ale wstręt wkorzeniony do języka niemieckiego, będący i powodem odrazy do filozofii niemieckiéj, stał długo na zawadzie; a imiona Schillera i Goethego przemycanym sposobem wcisnęły się tu i ówdzie w książki polskie. A choć dawniéj już książka: Obraz Wiednia, i książka pani Stäl, zwróciły oczy na literaturę sąsiadów naszych, przecież ona nigdy całą potęgą swoją rozwinąć się nie mogła; a filozofia mniéj jeszcze jak poezya. I nie dziw, bo jéj kształt zewnętrzny tak był twardy, tak szorstki i rogaty, iż strach padał na każdego, co jéj się zbliżyć chciał. Wszakże odmiany w poezyi dreszczem przejęły całe życie duchowe nasze, a przejęły wskróś; do tego jeszcze przyczyniło się, iż młodzież tłumnie zaczęła się wychowywać na niemieckich uniwersytetach, zwłaszcza w Berlinie; a

z tamtąd wracając do domu, po wszystkie strony roznosiła choć ułamkami filozofią niemiecką; a lubo po większéj części zrazu te ułamki były mniejszéj wartości, i nie wystarczały wcale, przecież były dostateczne, by podnieść w oczach naszych wartość umiejętności, którą zaledwo z imienia znano. Coraz to rzadziéj zdarzało się widzieć Polaków, co jadąc na wojaż, przelatywali listem Niemcy, spiesząc, jakby do ostatniéj mety swojéj, do Paryża. Zatrzymywano się po drodze, a już teraz i stanęło przekonanie, iż ukształcenie swoje w Paryżu dopiero ukończyć wypada.

Kto, dwanaście lub czternaście lat temu, bawiąc na uniwersytetach niemieckich, miał sposobność przypatrzenia się polskiéj młodzieży, nie bez prawdziwéj serca uciechy mógł porównywać ją z inną. Widząc tę pojętliwość, talenta naszych, tę ruchawość umysłową, a przedewszystkiem tę duchową zwinność, co z tak wielką łatwością przyswajać sobie umie choćby najtrudniejsze tajemnice świata naukowego, przyznać musiał, iż gruntowność i powaga niemieckiéj umiejętności, zaszczepiona na umyśle polskim, najpiękniejsze zradza owoce. Tę wyższość przyznawali i Niemcy, przyznawał ją i Hegel i Gans.

A żadnéj téż wątpliwości nie ma, iż gdy się znajdzie przy tych zaletach polskiego rozumu i owa sumienność i pracowitość, będąca piętnem naukowości niemieckiéj, daleko zajśćby można i prześcignąć nie jeden naród. A nie pochlebiając sobie, czyliż nie jest niezaprzeczoną prawdą, iż choć tak pod wielą względami musimy prym odstąpić innym, tak znów nie ma wątpliwości, iż w żadnym kraju nie znajdziemy w stósunku tylu ludzi z tak wielostronném ukształceniem, jak u nas. Ktokolwiek zna n. p. Francyą, Anglią, a nawet Niemcy, czyli nie przyzna mi, iż u nas w mieście jakiém, liczącém zaledwie jakie 30,000 mieszkańców, więcéj znajdzie ludzi znających wskróś oświatę i literaturę Europy, niż w stolicy innych krajów, mieszczącéj w sobie dwa, trzy, a nawet pięć razy tyle ludności. Anglik, Francuz, Niemiec, Włoch, znają tylko własne swoje stósunki, uczą się z trudnością obcych języków, trudniéj jeszcze zdołają wniknąć duchem w ducha oświaty obcéj i składającéj osobną dla siebie całość: gdy tymczasem u nas rzeczy zupełnie inaczéj się mają; i śmiało powiedzieć można, iż my częściéj jakimś szczęśliwym instynktem, jakiémś odgadywaniem i przeczuciem, snadniéj rozwięzujemy tajemnicze węzły w naukach, niż inni całą pracą i ślęczeniem swojém.

Patrząc się atoli na tę rzeską pracę dzisiejszą, na to krzątanie się wesołe około nauk, na chęć zwłaszcza, i ochotę prawie powszechną do filozofii, z duszy i serca zawołać może: „szczęść Boże!“ Bo istotnie ta droga zawiedzie piśmiennictwo nasze do pięknéj mety; rozsypane materyały, prace cząstkowe rozdrobnione po różnych stronach, znajdują ogólną podwalinę dla siebie: a stanie ten dom uroczysto-piękny, jasny, na chwałę i pociechę pracowników swoich. A będą miały gdzie mieszkać następne pokolenia i dokończać zaczęte budowanie. Szczęść Boże do téj budowy!

Ale w tém pragnieniu ogólném, w tych życzeniach powszechnych, dają się przedewszystkiem słyszeć życzenia, aby dobić się filozofii popularnéj, i aby stósowny dla niéj stworzyć język. Jeżeli zaś przez popularność rozumiemy przystępność ogólną, i tę jasność, aby dla każdego zwyczajnego ukształcenia człowieka łatwo zrozumianą być mogła; jeżeli ta filozofia ma się stać dobrem ogólném, tak do wszystkich należącém, jak powietrze, którém oddychamy, więc téż wypada, aby ona nie miała formy sobie właściwéj, a tém mniéj osobnego języka i swojéj własnéj terminologii. Bo gdzie osobna terminologia, tam potrzeba poprzedniego porozumienia się; a gdzie forma umiejętna, tam trzeba przygotowania w uczuciu się i przejmowaniu się duchem przedmiotu: słowem, tam nie może być popularną umiejętnością. Nie wchodząc tutaj bynajmniéj w to, czyli filozofia może być umiejętnością popularną, i do jakiego stopnia ona taką być może, wyznać jednak musimy, iż nam się trzeba zrzec, albo chęci mienia filozofii dla wszystkich dostępnéj, albo jéj formy umiejętnéj i terminologii osobnéj. Są to dwa życzenia zupełnie sobie przeciwne, nie mogące się obok siebie ostać.

A co się tyczy języka i terminologii, już wiele poczyniono! Radość serdeczna nas przejmuje, patrząc się, jak po mistrzowsku np. pan Trentowski i Libelt używają języka, jak nim potężnie władają, i jak z pod ich pióra rodzą się słowa poczęte w najskrytszych głębiach mowy naszéj, a będące doskonałą uwagą znaczenia myśli, a wnet myślę, iż wejdziemy w metodę, mogącą postawić język filozoficzny na prawdziwych zasadach swoich. Bo już znać, iż coraz to więcéj bierze górę przekonanie, iż wręcz same rozbiory językowe filozoficzne do celu nie prowadzą; że przypatrywanie się językowi pod względem jego składu i wewnętrznego życia, nie jest dostateczném. Jakoż nie ma nic fałszywszego, jak mniemanie, iż nim się do filozofii zabierzemy, wprzód wypada ukończyć sprawę z językiem, że trzeba mieć wprzódy język filozoficznie skończony. Mniemanie takowe podobne

jest zdaniu onego, co postanowił nie wchodzić do wody, pókiby się pływać nie nauczył. Nie ma wątpliwości, iż język staje się filozoficznym, jedynie rozprawiając i pisząc o filozofii; i tą też drogą puścili się ludzie przeważni w tym względzie. Brakuje nam atoli jeszcze najważniejszego warunku do dopięcia życzeń naszych; nie dostaje nam właśnie tego, coby nie ochybnie wywołało język filozoficzny na pewnych i niezachwianych zasadach — brakuje umiejętności logiki. Jakoż cofnąwszy się nawet do pierwotnych wyobrażeń o języku i myśli, każdy z nas wie, iż język i mowa jest wcielona myślą naszą; wyrazy wyrażają nam pojęcia. Tak każdy wyraz ma odpowiednie sobie pojęcie, a każdy wyraz znaczy jakieś pojęcie, jakąś myśl. Jeżeli tedy logika roztacza nam łańcuch myśli rosnących z kolei z siebie, cóż dziwnego, iż też każde ogniwo tego łańcucha, to jest każdy szczebel myśli, powinien mieć odpowiadający wyraz; a co więcéj, cóż dziwnego, iż jak zawsze następne ogniwo myśli wyrasta z poprzedzającego, tak też wyraz odpowiedni jednemu ogniwu tego łańcucha wyrastać powinien z wyrazu poprzedniego. Pierwotne myśli w pierwotne też wyrazy wcielić się winny; a w miarę jak myśli stają się pochodne, odpowiedne im wyrazy także pochodne być powinny. Przędza słów zarazem snuć się powinna z przędzą myśli; zapewne rzecz ta z całą dokładnością wykonać się nie da, ale taki niby jest, jak się zdaje, wzór postępowania. W razie tym, stósowność wyrazów bynajmniéj nie zależy od zdania piszącego, ale samo miejsce, w którém użyty będzie wyraz, okaże prawdziwe miejsce jego; tu logika sama pomoże językowi, i stanie się rodowodem wyrazów i najdoskonalszém źródłosłowem. Każdy wyraz tedy niby urzędowe potwierdzenie swoje znajdzie, i każdy będzie miał nie upodobanie, ale dowód, ale konieczność za sobą: pokrewieństwo myśli okaże się przez pokrewieństwo wyrazów. Prawda, iż niekiedy się zdarzy, że ogniwu myśli braknie ogniwa mowy, to jest odpowiedniego wyrazu, a wtedy wypadnie, jak się zdaje, śledzić go w księgach dawnych polskich, zwłaszcza ascetycznych i sporów z różnowiercami. A jeśli to nie wystarczy, udać się wypadnie do języków słowiańskich, utworzyć go w końcu, lecz utworzyć z ducha języka, ale z ducha języka tak, jak nam się wyraz sam nasuwa. Dawniéj np. pisarze XVI. wieku, bez namysłu długiego znajdowali wyraz stósowny, gdy tego potrzeba nakazywała, bo mieli swój język we krwi, czuli go przeczuciem jakiém, choć nierozdzierzgnioném, toć potężném ciepłem. Prawdziwie, aż serce się raduje, gdy ich pisma czytamy; gdy widzimy, jak wybornie im instynkt nastręcza.

Pan Trentowski już wiele przyczynił i dokazał, czego tylko było można, nie zaczynając od logiki, a z jego prac dopiero widzieć można, czegoby się spodziewać wypadało, gdyby język nasz rozwinięty został na kanwie umiejętności téj. A jeśli nam się tak język złoży i stworzy, już też i filozofia stanie u nas na fundamentach swych; a nauki i umiejętności się wzmożą, nabiorą siły i powagi. A z dojrzeniem i upotężnieniem nauki, coraz to silniéj wystąpi prawda na jaw; co jeno ducha człowieczego zajmować może, rozjaśni się, rozświeci, co było niepewne i wątpliwe; zbierze, jakby w ognisku, wszystkie myśli powaśnione zdaniem indywidualném, i pogodzi je z sobą. Bo waśń jest dziełem błędów i pomyłek, prawda godzi w jedność. Ale czyli poetyczność, będąca pierwotną i początkową formą odrywania się od szczegółów i wzniesienia się nad rzeczywistość, nie odstąpi placu odrywaniu się filozoficznéj abstrakcyi, to jest po prostu, czyli za zjawieniem się u nas filozofii i naukowéj prozy, nie skończy się epoka poezyi? czyli nawet ten urodzaj na powieści i ta proza poetyczna nie pokazuje już przejścia z poezyi do prozy? czyli literatura nasza tym sposobem nie okazuje już ukończenia swéj pierwszéj epoki, a wstąpienie w drugą dojrzałą? To są pytania, które mi w téj chwili trudno rozstrzygnąć, a które tylko z czasem wykazać nam się mogą. Wszakoż weszliśmy na koleje, prowadzące do prawdy.

Szczęść Boże!

K.

Miłość i cyrograf.

(Powieść fantastyczna.)

(*Ciąg dalszy.*)

„Wstrzymaj się pani, nie rób krzywdy mojemu sercu. Wiem ja, do jakich poświęceń miłość jest zdolna... że wiem, pochlebiam sobie...“ To wyrzekłszy zaciąłem się, sądząc, żem za wiele powiedział, lecz po chwili znowu zarzuciłem ją pytaniami: „Ale dla czego onego tu nie ma? dla czego nie towarzyszył tobie? Dla czegóż nie stanął do umowy, do podpisu, bez którego żaden kontrakt nie ważny; jestże to podstęp jaki?“

„„Nie sądzę; uprowadziwszy mię z domu, zostawił mię tu na dole, i dopiero ze świtem zabierze mię z sobą.““

„Ciebie zabierze? lube dziecię! przecie chciéj mi wierzyć, że jeśli zawarłem jaką ugodę, to tylko dla siebie; jakżebym go skarcił za te jego figle!“

„„Biedny, nie śmiał się pokazać ci na oczy, przewidując twoje skrupuły.“““

„Co słyszę, nie śmiał się pokazać na oczy? z kądże taka lękliwość w istocie jego rodzaju?“

„„Wnoszę, iż drażliwość twoich uczuć, delikatność zasad, mogły wzniecić obawę....“““

„Wielce mu jestem obowiązany za to pochlebne o mnie rozumienie, ale koniec końców muszę go widzieć...“

„„Ujrzysz go o wschodzie słońca, za trzy lub cztery godziny.“““

„Za trzy lub cztery godziny!“ zawołałem z uniesieniem, przybliżając się do niéj... „Olesiu! za trzy lub cztery godziny!“

„„Tak jest Henryku!““ odrzekła ze słodyczą, przybliżając się do mnie, „„ty mi dasz przytułek, ty opiekę przez czas, nim on tu pocztowym powozem przybędzie.“““

„Co! nim on pocztowym powozem przybędzie?“ zawołałem, przecierając sobie oczy, jakbym się ze snu obudził.

„„Bądź pewny, on by się nie był naraził na odpowiedzialność za usługę, jaką nam wyświadczasz obojgu, gdyby jego poczciwa babka żyła, która w przeszłym roku na puchliznę wodną umarła.“““

„Co mówisz pani!“ wykrzyknąłem, popchnąwszy stós papierów, na którym siedziałem, „jego babka, co na puchliznę umarła! o kimże to pani mówisz?“

„„O kimże, jeśli nie o Fortunacie! Fortunacie, który cię kocha duszą i ciałem, którego ty kochasz wzajemnie; ponieważ szczegóły te nie są ci wiadome, dowiedz się więc, iż dzisiaj wieczór, o umówionéj między nami godzinie, przyszedł mię wykraść z domu mojéj ciotki, która nie chciała mu oddać méj ręki. Jedyny to był sposób wymódz na niéj zezwolenie. Dzisiaj ciotka moja dawała tańcujący wieczór; na dziedzińcu mnóstwo kręciło się przychodzących i odchodzących osób, mogących spostrzedz naszą ucieczkę; to więc nas zmusiło, żeśmy uszli ogrodem... Z daleka postrzegliśmy światło w oknach twego pawilonu: „Patrzaj Olesiu,“ mówił on, „roztropny i pilny Henryk jeszcze siedzi nad pracą; ten Henryk dla mnie jest wszystkiem, bratem, powiernikiem, opatrznością; nie mam żadnéj przed nim tajemnicy, ani on przedemną; najszczęśliwszy będzie, bo znam jego serce, jeśli ci będzie mógł dać schronienie do dnia. Wejdź na wschody i zapukaj na pewne, a ja tymczasem wszystko przygotuję do odjazdu;“ potém pożegnał mię, weszłam na wschody, pukałam... i tak wiesz o wszystkiem.“““

„O wiem aż nadto; lecz rozważywszy rzecz całą, lepsze to, niż co innego. Idzie tu o to tylko, abyś pani mogła być z nim szczęśliwą? A zatém to Fortunat jest owym gorąco ukochanym przedmiotem?“

„„Któżby jak nie on? Wprawdzie trzy razy tylko mówiłam z nim, ale na te listy jego, ach! jaki w nich ogień przenikający, jaka ujmująca tkliwość, z jakim zapałem malował miłość swoją, ach to drugi Werter ten mój Fortùnat.“““

„Wstrzymaj się Pani! wstrzymaj! Więc listy jego tak mocny wpływ wywarły...“ I nagle przygryzłem wargi, bo już, już, ogromne miałem wybełknąć głupstwo. Ale jak ów wielki Anonim, usłyszawszy swoją pochwałę, ukryłem się, mówiąc po cichu do kuszącego mię ducha: „Stój! stój! przyjacielu! jeżeliś mię nie spętał przez słabą stronę miłości, tém bardziéj niewskórasz ze mną przez próżność.“—„Sądzisz więc pani, że Fortunat piękne ma pióro?“ dodałem z przybraną obojętnością, a pomyślałem po cichu: i ładna i nie źle ma w głowie...

„„Nie toś miał teraz Henryku na myśli.“““

„Słuszne postrzeżenie. W rzeczy samej czyniłem teraz to, co tobie pani czynić należało, nimeś puściła się drogą tak niebezpieczną.“

„„Jak to Henryku rozumiesz?“““

„Pomyślałem nad tobą. Zapewne Fortunat stracił głowę, kiedy cię namówił, piękna i rostropna Olesiu! szukać opieki u takiego, jak ja szaleńca, człowieka bez zasad, co o nic nie dba, co przed godziną o mal nie zapisał się djabłu, co koniec końców ma sławę najpierwszego z trzpiotów.

„„Zbyt surowo, a może przez ironię mówisz o kilku pustotach młodzieńczych, które nie plamią twego harakteru, ani ujmy dobréj sławie przynoszą. Fortunat wyrzucający sobie błędy podobne, usprawiedliwia się w listach swoich z taką wymowną szczerością, że nawet ciotkę moję, tak surową dla młodych, potrafił rozczulić. O nie Henryku, ty nie wyglądasz na to, coś o sobie powiedział.“““

„Dzięki ci pani za twój sąd tak łaskawy. Ale z tém wszystkiem schadzka tu o téj porze tajemnicza i tak niebezpieczna dla cnoty, którą we mnie wmawiasz, może niewinność twoję wystawić na pociski złośliwe tego gminu, który mniéj łaskawie wyrokuje o mnie. Pozwól zatém, w imie twéj dobréj sławy, abym ci inne schronienie na te kilka godzin obmyślił. Za chwilę powracam, zostawując cię panią wszechwładną

wszystkich twoich czynności; oprócz téj, że ani z tąd wyjść, ani tu nikogo wpuścić nie możesz.“

Olesia przystała na wszystko. Zamknąwszy ją w pokoju na dwa spusty, wybiegłem.

Cały plan miałem już w głowie, bo w młodym wieku pomysły i żywo się rodzą i prędko rosną w całość.

U ciotki Olesi, jak się dowiedziałem, był wieczór tańcujący; kiedym wszedł na dziedziniec jéj pałacu, ostatni powóz wyjeżdżał, a w oknach gaszono światło; nie zważając na to, szybko jednym skokiem przemknąłem się obok dwóch lokai, zamykających bramę.

„Kogo pan szukasz?“

„„Waszéj pani.““

„Już po balu, goście się rozjechali.“

„„Ale ja jestem.““

„Pani do łóżka idzie.“

„„Mniejsza o to.““

Po téj rozstrzygającéj odpowiedzi, nie zadawano mi więcéj pytań, a ledwie dziesięć upłynęło sekund, już byłem w sypialnym pokoju ich pani, gdziem nigdy ani tak późno, ani tak rano nie postał.

Odgłos kroków moich zmusił ją, że się obróciła ku drzwiom w téj chwili, kiedy odpinała przedostatnią haftkę swéj sukni.

„O nieba! co widzę!...“ krzyknęła; „WPan tu! u mnie! o téj godzinie! w mojéj sypialni! bez opowiedzenia się? z pogwałceniem stósunków społecznych!“

„„Tak jest pani, nie znam ich wtenczas, kiedy idę za popędem serca.““

„Cóż to Mości panie? czy znowu do dawnego powracasz szału! Jeśliś łaskaw, z całym twym kramem sentymentów zachowaj się na lepszą porę.“

„„Trudnoby o lepszą, jeślibym wizytę w téj oddawał myśli, jaką mi pani przypisujesz; lecz inneważniejsze, żadnéj niecierpiące zwłoki, powołują mię tu powody. Klarysso! zaklinam cię na wszystko!““ zawołałem, biorąc ją za rękę, „„chciéj mię wysłuchać!““

„Ważniejsze powody? zapewne jaki krok desperacki; przyszedłeś WPan mnie przestraszyć. WPan mnie trwogą nabawiasz! Znam te jego uniesienia, i aby uniknąć zniewagi, o którą tak łatwo, zadzwonię.“

„„Tego nie czyń pani,““ rzekłem, biorąc ją za drugą rękę, i zmuszając prawie gwałtem usiąść na kanapie. „Co ma się stać, niech będzie między nami; najgłębsza tajemnica pokryje rzecz całą, a teraz u nóg twoich zaklinam cię, posłuchaj mię na chwilę, bo każda chwila jest drogą!““

„Biada mi!“ zawołała, łkając przytłumionym głosem, „ach, że téż nikogo nie ma z moich ludzi!“

„„Témci lepiéj, obecność ich byłaby zbyteczną, a najmniejszy krzyk mógłby cię zgubić pani na zawsze.““

„Cóż to? czy napaść, czy rozbój? ach to niesłychana zbrodnia! czego żądasz odemnie poczwaro?“

„„Nic prawie nie żądam, ale cokolwiek więcéj powolności z twéj strony, a byłabyś dotąd wiedziała o wszystkiém Klarysso! Chciéj mi zatém powiedzieć, gdzie jest Olesia?““

„Olesia? moja siostrzenica? a to zabawne pytanie! Jakiż udział może mieć Olesia w obraźliwéj scenie, jaką mi WPan wyprawiasz? Olesia wcześnie wraca do swego pokoju, zwłaszcza, kiedy mam gości. Jest to zasadą macierzyńskiego wychowania, jakie jéj dałam od lat najmłodszych. Olesia jest teraz u siebie, Olesia w łóżku, Olesia śpi, i to tak pewnie, jak to, że żyję!“

„„Pan Bóg, który jest wszechmogący, może cud jakiś sprawił, bo ileż to rzeczy dzieje się niepodobnych do uwierzenia! Ale oto drzwi do jéj pokoju; nic łatwiejszego, jak się przekonać, czy jest Olesia i oboje nas z drzącéj niepewności wybawić, która daleko bliżéj obchodzi odpowiedzialność ciotki, niż poczciwego sąsiada...““

„Miałażbym sumienie budzić to dziecię, zwłaszcza wtedy, gdy obcy mężczyzna w moim pokoju.“

„„O że ją nie obudzisz pani, to więcéj niż pewna,““ rzekłem, macając, czy mi klucz nie uciekł z kieszeni. „„Olesia już na dobre obudzona, Olesia zbudzona lepiéj, niż kiedy. A jeśli cudem jakim zastaniesz ją pani w łóżku, to się pokaże, że djabeł dziś mądrzejszy, niż za dawnych czasów.““

Klaryssa wzięła świecę, weszła do pokoju swéj siostrzenicy, a zrobiwszy kilka kroków, wróciła, padając prawie we mdłościach na kanapę.

Przewidując ten koniec, uzbroiłem się był flaszką kolońskiéj wody z jéj toalety, a odpiąwszy ostatnią haftkę, dałem jéj powąchać trzeźwiącéj woni, i z lekka ucałowałem ręce, które załamywała, wyciągając ku mnie.

„„Nie teraz czas, piękna i nieporównanéj dobroci Klarysso! (sam nie wiem z kąd mi przyszła ta swada) oddawać się daremnym jękom i narzekaniom; okoliczności wzywają nas do spiesznego działania.““

„Niestety! wiem o tém! lecz do kogóż się udać, jeśli nie do ciebie, co zapewne zbadałeś tę okropną tajemnicę! do kogóż, jeśli nie do ciebie Henryku, co

może jesteś wspólnikiem téj zbrodni, a kto wie, czy nie głównym jéj sprawcą!"

„„Oh! nie moja w tém wina!"" zawołałem, wzdychając.

„Henryku, ty wiesz, gdzie się ona obraca! ty wiesz przyjacielu! nie wypieraj się! i oddaj ją nieszczęśliwéj ciotce."

„„Prawy mój sposób myślenia wzbrania mi tego dopełnić. Olesia powierzyła mi swoją tajemnicę; nie zdradzę jéj, bo bym u ciebie nawet na pogardę zasłużył. Tyle tylko wyznaję, iż pewien człowiek honoru ma ją pod swoją opieką, i wtenczas w twoje odda ją ręce, jeśli zezwolisz, aby przyszła w objęcie przyszłego małżonka. Wczoraj było to jeszcze zagadką do rozwiązania, dziś staje się konieczną potrzebą..... Otóż i wszystko, co miałem powiedzieć.""

„Ach! lepiéj było nigdy o tém nie słyszeć! któż jest ten małżonek? zapewne Fortunat! ów szaleniec, rozpustnik, marnotrawca! piękne małżeństwo, zaiste."

„„Trudno przebierać w małżonkach, dawszy się raz wykraść; a mężczyzna, który nie będzie dbał na takie skrupuły, przez wzgląd na hojność posagu, milion razy gorszy jest od każdego półgłówka, bo godzien być nędznikiem nazwany. Fortunat nie należy do rzędu uczonych ludzi, to prawda; ale szlachetna miłość, czyż nie może go poprawić? Okrzyczano go, że ma ogromne długi, przeciwnie to najrządniejszy człowiek, dokąd nie ma nic do stracenia. Wiem z dobréj strony, bo nawet z ust Fortunata, że stryj mu zapisuje majątek, jeśli się ożeni. Wprawdzie nie jest to zbyt dochodna majętność, ale knieje na wilki i lisy ma wyborne. Co zaś do zabezpieczenia posagu małoletniéj Olesi przeciw marnotrawnemu duchowi małżonka, na to tysiąc jest prawnych sposobów, które ja ci sam pani wskażę, skoro ukończę moją naukę prawniczą. Związek ten ze wszystkich miar tak jest przyzwoity, jak tylko sobie życzyć można; jakkolwiek liczne są przywary Fortunata, jednakowoż nieprzyciemniają w nim przymiotów duszy szlachetnéj i dobrego serca; jestto otwarty, prawy, ujmujący i odważny chłopiec.""

„A jak prześlicznie listy pisze!" przerwała ciotka, jakby zbywając się ostatnich skrupułów; „co za styl potoczysty, jaka trafność w malowaniu uczuć...."

„„Czy doprawdy?.... tak pani sądzisz?.... to zbyt wiele pobłażenia.""

„Jakto? Henryk nie podziela tego zdania; lękam się, czy to nie zazdrość mówi przez ciebie."

„„Przeciwnie pani! na ślepo poddaję się wyrokom twojego gustu,"" odpowiedziałem, przybierając ton obojętny, „„i owszem życzę, aby Fortunat w stanie małżeńskim taki sam styl zachował. Ale styl jego cóż ma do rzeczy? Ile się znam na tém, zastanowi przyzwoitość stósunków małżeńskich; chodzi tu o prędką ostrożność; kilka minut rozwagi, wskaże ci pani środki do odwrócenia hańby, wiszącéj nad twoim domem. Olesia, jak pani widzisz, rozwinęła się prędko, a nawet prędzéj niż wiek jéj pozwolił. Czy teraz, czy później, zawsze ją czekało małżeństwo, a lepiéj ją wydać, niżby się sama wydała. Bo też prześliczne to dziecko! ustrzedz ją nie było podobna, ani też z takiemi wdziękami i z takim posagiem zamknąć w kącie, gdzieś daleko za światem? To szczęście jeszcze, że Olesia podobała sobie tego trzpiota, który najłatwiejszy będzie w pożyciu; i lepiéj, że go uszczęśliwi, niżby miała odddać rękę jakiemu sknerze lub pieniace, z którym woźni, trybunały, adwokaci i cały ów tłum pieniaczéj zgrai, temi drzwiami wszedłby do twego domu, co i obrządek małżeński. Co z Fortunatem, to inna sprawa! kiedy fantazya pańska zaszumi w głowie, albo kiedy się czém rozczuli, naprzykład, jeśli go wierzyciele opadną, gotów za rulon oberzniętych dukatów skwitować się z całéj sukcessyi. Nieporównany charakter! Z drugiéj strony znowu Olesia, uchodząca jeszcze za dziecko, podrasta z dniem każdym. Jéj rzadka piękność lada dzień mogłaby z twoją iść na zawody, a wtenczas jakie zgryzoty! jakie umartwienia! bo i tak już słyszałem półgłówków przebąkujących w loży: ta piękna osoba musiała bardzo młodą pojść za mąż!.... Gdzie oczy podzieli, biorąc cię za matkę Olesi?""

„Fi done Henryku! przecież jeszcze nie byłam na pensyi, kiedy Olesia na świat przyszła."

„„Nie moję to zdanie! przytaczam tylko wypadki i dowody, aby cię Klarysso odwieść od wachania się z postanowieniem Olesi.""

„Jakżeż się tu nie wachać! Henryku! chciéj tylko, a wszystko naprawisz; ty namówisz Olesię, niech wróci; a polegając na twojém zachowaniu tajemnicy, wszystko zatrzemy...."

(Koniec nastąpi.)

Korrespondencya.

Szanowny Redaktorze!

Znając z pism twego ducha, przesełam ci dwie uwagi nad dwoma świeżo wydarzonemi przypadkami ku polubownemu ich użyciu.

Gdyby chytre Włochy zapomnieć chciały imperatorskiéj swojéj władzy, gdyby Dwór rzymski rządził się zdaniem Chrystusa: „królestwo moje nie jest z tego świata,“ gdyby Namiestnik Chrystusa nie był potępiał kruszącego swe pęta ludu hiszpańskiego, a Don Carlosa nie uznawał od samego Boga z nieba (non est potestas nisi à Deo) spuszczonym prawym ich monarchą, nie byłby był doświadczył odszczepieństwa prawowiernego tego ludu i niepotrzebowałby teraz Katolików zagrzewać do gorących modłów, z udzieleniem Jubileuszu, o połączenie Hiszpanów z głową kościoła katolickiego. Ale że się to zamiast brewiarza polityki patrzy, potakuje się despotyzmowi, nazywa się Don Carlosa prawym monarchą Hiszpanów; cóż za dziw, że ludy odzyskawszy swe prawa, wypowiadają posłuszeństwo przyjaciołom despotyzmu! To samo, co się przytrafiło Papieżowi w Hiszpanii, przytrafiłoby się było i w Polsce, za jego bule pod czas i po rewolucyi ostatniéj do Biskupów wydawane.

Urzędowe sprawozdanie Dworu rzymskiego, wyjaśniające zażalenia, napomknięte w Allokucyi papiezkiéj, mianéj w tajemnym konsystorzu d. 22. Lipca 1842. r. Sion Nr. 95. 1842. (Wyjątek. Tłumaczenie z niemieckiego.)

W ów czas, to jest, gdy teraźniejszy Papież zasiadł na stolicy Piotrowéj, królestwo polskie stało się łupem *złego ducha* powstania i całkiem rozprzężone. Ojciec św., jako głowa wielkiéj katolickiéj familii, gorliwy stróż i zachowawca niepokalanéj nauki, owéj religii, która przedewszystkiem zasadzie doskonałéj wierności, uległości i posłuszeństwa, do których poddani swojemu najwyższemu świeckiemu Rządzcy obowiązáni są, ciągle święcie hołdując, widział potrzebę i czuł obowiązek polskiemu narodowi wspomnioną zasadę do pamięci przywieść i we właściwym czasie ugruntować, aby namiętności czasu i zwodnicze rozsiewania owych, którzy św. imienia religii do ich przewrotnych widoków nadużywać ośmielili się, wiary ludu aby niezdołali zmienić i osłabić, i aby złe, które koniecznym z przeciwnego katolickim zasadom działania skutkiem jest, w całym swoim ogromie na większą część ukochanych kościoła dzieci, która już i tak przewrotnemi niektórych zdaniami uwiedzioną została, albo na samą religią, już i tak źle wykonywaną i upośledzoną w Polsce, nie rozlało się. Takiemi zdaniami powodowana Jego świątobliwość, bez straty czasu, skierowała pismo (to breve czytałem w jedném pisemku X. Lamenais) do tamtejszych Biskupów, zachęcając ich do wypełnienia połączonego z ich urzędem obowiązku, aby pomiędzy duchownymi i ludem wierność, poddaństwo i spokojność ożywili i dobrze w ich mozgownicę wrazili, jak ciężkiéj zbrodni przeciwko Bogu i Kościołowi stają się winnymi, którzy prawéj władzy ośmielają się sprzeciwiać. A ponieważ domniemywać się trzeba, że w skutku zamieszania spraw publicznych (pod czas rewolucyi) głos ten najwyższego Pasterza, w owym kraju, dosłyszanym niebył, przeto przychylił się Ojciec św. do żądania ministra jego cesarskiéj mości księcia Gagarin i nieomieszkał swoich miłości i mądrości pełnych upomnień powtórnie przesłać do Biskupów polskich, w tym celu, aby ci pracowali nad ustaleniem cotylko przywróconego politycznego porządku, szczególniéj aby księży na drogę swoich obowiązków naprowadzili, z któréj ku ich większemu nieszczęściu zeszli.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.